

MAJA WOLNY
CIAŁA NIEBIESKIE

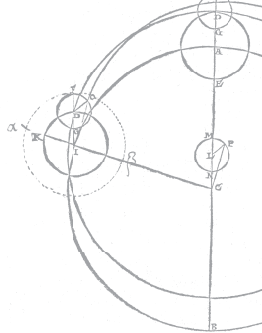
POWIEŚĆ O ANNIE SCHILLING
I MIKOŁAJU KOPERNIKU

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Maja Wolny

COPYRIGHT © FOR THIS EDITION BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2026

PUBLISHED BY ARRANGEMENT WITH Beata Stasińska Literary Agency



Mam na imię Anna, tak jak czcigodna babka Jezusa Chrystusa, ale nie jestem wzorem do naśladowania dla żon, nie krocę pobożną drogą. Nadano mi imię świętej, która miała być przykładem dla kobiet. Ze swoim mężem Joachimem, którego czciła, żyła skromnie i bez grzechu, a jednak niebiosa nie pobłogosławiły ich potomstwem. Pewnego dnia pogrążony w smutku małżonek potajemnie opuścił dom i udał się na pustynię, gdzie przez czterdzieści dni zamierzał pościć – z nadzieją, że Bóg dojrzy jego cierpienie i zlituje się nad gniazdem bez piskląt.

Mężczyzna, którego poślubiłam, też odszedł, ale nie powiedział dokąd. Z pewnością jednak ani nie pości, ani się nie umartwia. Dopływa raczej do jakiegoś nadmorskiego miasta, gdzie w wilgotnych oparach grzechu czekają na niego portowe dziwki. Po pijackiej nocy Arend, bo tak na imię ma mój ślubny, spienięży towar, część zysku zostawiając na karcianej ławie, i ruszy dalej, do kolejnego miasta, by spotkać bankierów, kapitanów i zwykłych rzezimieszków, którzy namówią go na udział w kolejnej wyprawie. A on na wszystko się zgodzi, byle tylko być z dala ode mnie, od domu, od naszych dorastających dzieci i kłopotów, z którymi zwykł zostawiać mnie samą.

Kiedy moja patronka odkryła, że Joachim zniknął, straciła nadzieję i zaczęła oplakiwać swoje wdowieństwo. I właśnie wtedy, gdy wszystko wydawało się stracone, w jej brzuchu poruszyło się dziecko. Wspaniały anioł obwieścił narodziny dziewczynki i rychły powrót męża.

Moja święta imienniczka, rodząc pierwsze i jedyne dziecko, była już w podeszłym wieku, lat miała grubo ponad czterdzieści. Prawdziwy cud! Jeszcze większy wydarzył się piętnaście lat później, gdy jej córka, Maria, posłubiła cieślę Józefa i stała się matką Boga.

Mam pięcioro dzieci. Dwóch synów i trzy córki. Moje najstarsze dziewczęta już szykują się do zamążpójścia. Codziennie modlę się do świętej Anny o szczęście dla nich. Oby ich mężowie okazali się lepsi od mojego.

Patronem Arenda Schillinga jest Arnold Wyznawca, lutnista wielkiego cesarza, nie pomnę jednak jego imienia. Władca ten z wdzięczności za piękną grę podarował muzykowi lasy i bogactwa, ale święty rozdał swój majątek ubogim. Owa wzniosła historia nijak ma się do mego Arenda. Nie tylko nie potrafi on grać na żadnym instrumencie (jedynie na moich nerwach), ale i na domiar jest chciwy oraz skupiony na sobie. Pieniądze zaś wydaje na jeden cel: własne zachcianki.

Gdy dzieci nasze były małe, wciąż żywiłam nadzieję, że w małżeństwie nam się ułoży. Zostając panią Schilling, liczyłam szesnaście lat, niewiele więcej od Najświętszej Panienki, i moje serce było głodne uczucia, którego Arend – wówczas bardzo przystojny mężczyzna – dla mnie jednak nie miał. Dni mijały, oczy puchły mi od łez, pod suknią pulsowały ślady po męzowskiej dyscyplinie. Oszepecona smutkiem i bezsennością, jedyną pociechę znajdowałam w czytaniu dwóch ksiąg. Obie stały wtedy jeszcze w naszym gdańskim domu: święta Biblia oraz *Wykład o żeglarstwie i gwiazdach*. Ta druga była prezentem ślubnym dla Arenda od mego ojca, niezwykle światłego człowieka, świeć, Panie, nad jego duszą, zasłużonego burmistrza miasta Torunia. Księgę tę sprzedaliśmy już jakiś czas temu na wiano dla córek, ale znam ją niemal na pamięć; dzięki temu mam poczucie, że nie do końca pozbyliśmy się tego bogactwa. Biblię próbuję czytać codziennie. Lubię zwłaszcza Janową Ewangelię oraz księgę Genesis. Gdy czuję się poraniona ludzką złością, słowo Boże przynosi mi otuchę. Choćby taka scena wygnania pierwszych ludzi z Raju. Pan Bóg pyta Adama, dlaczego się przed nim ukrywa, a on, przestraszony, od-

powiada: „Niewiasta, którąś mi dał za towarzyszkę, dała mi z drzewa i jadem”*. Tak właśnie skarży się Adam. Nieudolnie, jak to mężczyzna, od razu odsuwa winę od siebie. A przecież Wszechmogący dobrze wiedział, co się wydarzyło, i musiał być Adamowym tchórzostwem srogo rozczarowany.

Mój mąż nie lubi, kiedy pochylam się nad księgami. Straszy mnie, że umrę od czytania. Ponoć w drukarskiej farbie mieszają teraz tajemny składnik, co zabija pleśń i robaki i który szczególnie niebezpieczny jest dla kobiecej skóry.

– Jak będziesz tak palcem wodzić po literach, to ci ten paluszek odpadnie, *Dummkopf*!

Och, gdyby wiedział, że pod jego nieobecność nie tylko czytam, ale i piszę! Tak, w tajemnicy przed wszystkimi spisuję własną historię. Trzymam ją pod podłogową deską. Muszę uważać, by Arend się nie zorientował, nie spostrzegł na mych dłoniach plam z atramentu. Na szczęście niczego na razie nie podejrzewa.

– Znów ten popiół na łapskach, jak u wieśniaczki! Umyj się, *Aschenputtel*, zanim się do mnie zbliżysz! – syczał nieraz podpity, leżąc w miedzianej wannie, podczas gdy namydlałam jego miękkie członki, szorowałam pokryte węgarami plecy, polewałam letnią wodą długie gęste włosy, wijące się czernią na karku, a potem wyskubywałam z nich siwe pasma.

– Rwij każdy biały kudęł, *keine Grau in mein Haaren* – rozkazywał. – Nie ma na to miejsca na głowie Arenda!

Rwałam, patrząc na głowę mego męża hulaki i tocząc nierówną walkę z czasem.

Dziś Arend jest prawie łysy, nad czym bardzo ubolewa, obwiniając za to czary, którymi ponoć się param. Jedynie brodę ma wciąż okazałe gęstą. Nie lubię nieogolonych mężczyzn. Zarost, a zwłaszcza broda, kojarzy mi się z brudem. Ta należąca do Arenda zalegiwała na karczemnych ławach, wśród rozlanego piwa, okopcona dymem łądowała

* Księga Rodzaju 3,12, Biblia Jakuba Wujka.

w barłogach, czerniąc się między nogami rozpustnic. Pewną pociechą było to, że po wyczerpujących nocach robił się bardzo chętny do kąpieli, a mniej chętny do małżeńskiego łóża. Za namową Johany, mej serdecznej przyjaciółki, która nie raz ratowała mi życie, zaczęłam dodawać do wanny passiflory i melisy. Wonny ukrop wyciągał z ciała smród tawerny, a opary usypiały mojego wymęczonego całonocnym pijaństwem męża, tak że w zaciemnionej komnacie przesypiał cały kolejny dzień. Oddychałam wtenczas z ulgą, pełna nadziei, że nie będzie wypędzał ze mnie złych mocy rzemieniem i że uniknę nowych otarć na udach.

Johana ma burzę loków w kolorze rdzy i nieokreślonej barwy oczy, przywodzące na myśl krople żywicy albo kawałki bursztynu. Jest szczupła i wąska w biodrach. Kiedy się śmieje, wprawia w drżenie stojące w kredensie srebrne kielichy. Nie lubi słuchać romansów ulicznych grajków, nigdy nie staje wśród chichoczących mieszczek, które w pełnych westchnień rozmowach dają sobie tajemne znaki, dzieląc się prawdziwymi i wymyślanymi opowieściami.

Oprócz mnie Johana nie ma w Gdańsku żadnych przyjaciółek. Poznałyśmy się kilka lat temu przy kramie z ziołami. Okazało się, że lecznicze rośliny to nasza wspólna pasja. Pierwszy mąż Johany zmarł dawno, drugi również pożegnał się z tym światem, zaś jedyny jej syn, kupiec korzenny, spędzał większą część roku na morzu. Arend nie pozwalała mi się widywać z Johaną. Twierdzi, że jest wiedźmą.

– Popatrz tylko na tę jej bliznę na dłoni: to po szóstym palcu! Sama go sobie obcięła. Świętej pamięci Felicjana otruła ziołami trzy lata po ślubie! Własny syn przed nią ucieka, goni gdzieś po morzach.

Nawet jeśli w tych słowach było trochę prawdy, to i tak zawsze bardziej ufałam mojej drogiej Johanie niż ślubnemu. Spotykamy się więc potajemnie, najczęściej wtedy, gdy Arend wyjeżdża w interesach.

Moja przyjaciółka ma w domu pozłacaną klatkę z gadającym południowym ptakiem, papagają, którą nazywa Stellą. Zielonopióry stwór z karminowym dziobem powtarza ostatnie sylaby, a niekiedy całe słowa. Kiedy wchodzę i witam się z domownikami, macha skrzydłami, a z dzioba płyną gardłowe dźwięki:

– *Gut’n Morrrgen, orrrgen, orrrgen...*

A gdy Johana podaje jej kilka ziaren owsa, Stella kłania się i zabawnie skrzeczy:

– *Smack, smack.*

W domu mojej przyjaciółki są też inne dziwy. Woreczki z kolorowymi kamykami, wielkie muszle, co przenoszą szum oceanu, szkieleciki jaszczurek, chomików i innych małych stworzeń. Kiedy pokazuje mi swoje skarby, czuję się, jakbym odbywała daleką podróż do płaskiego podbrzusza Ziemi, krain zamieszkiwanych przez groźnych dzikich ludzi.

Jednym z najbardziej niezwykłych przedmiotów są karty pokryte tajemnymi wzorami i figurami, które Johana nazywa tarokiem. Nie wolno mi ich dotykać. Ona jednak, wiedząc, jak bardzo mnie fascynują, sama rozkłada je przede mną. Na starym świerkowym stole, porowatym i z zakrzepłymi żywicznymi kroplami, ukazują się magiczne postaci, z których każda jest jak portal do innego świata. Wydawało mi się, że poznałam już wszystkie zakłète w taroku obrazy, ale całkiem niedawno objawiła mi się karta, której nigdy wcześniej nie widziałam. Johana się zdenerwowała; przetasowała talię ponownie i nie chciała nic powiedzieć, choć ja od razu odgadłam znaczenie obrazka. Nie było to trudne, bo przedstawiał dwoje ludzi splecionych ze sobą w uścisku; ich złączone nogi przypominały syreni ogon.

– No, czemu to przede mną chowasz?! Jesteśmy dorosłe! – śmiałam się, wyciągając rękę po kartę.

Johana cmokała tylko ze zniecierpliwieniem, mrużąc coś pod nosem. Potem mówiła, że ma zły dzień, że nie skupiła się wystarczająco przed kładzeniem taroka, a to źle, bo teraz karty mogą się na nią pogniwać.

– Dlaczego nigdy wcześniej nie widziałam tego obrazka, Johano? Jest piękny! – pytałam, nie dając za wygraną.

– Ta karta nie dla ciebie, przecież brzydzisz się miłością cielesną – odpowiedziała trochę za ostro, a ja jak zwykle pozwoliłam jej poprowadzić rozmowę dalej.

Johana odpowiedzi na nurtujące ją pytania szuka w kartach i gwiazdach. Ja zaś odczuwam potrzebę zwracania się z mymi kłopotami do Boga. Chodzę na wieczorne modlitwy do Kościoła Mariackiego, mieszkamy bowiem u stóp tej wspaniałej świątyni. Od jej wrót dzieli mnie tylko kilkadziesiąt kroków. Zawsze jednak staram się wracać do domu najwolniej, jak się tylko da, czasami nawet okrążam kościół dwa razy i w ten sposób opóźniam powrót.

Niedawno probostwo przejął ktoś nowy, bywały w świecie i wykształcony Jan Flaschbinder, który każe nazywać siebie Dantyskiem. Ku memu zdumieniu odkryłam jednak, że nie ma on święceń kapłańskich. Wyznaczył do codziennych obowiązków surowego wikariusza, księdza Jerzego, który spowiada w każdy piątek. Wydaje mi się nieskromnie, że niezbyt wiele grzeszę, lecz i tak co tydzień bywam przy konfesjonale. Chęć oczyszczenia jest we mnie równie silna, co pragnienie przebywania w bliskości tego światłego człowieka. Urzeka mnie skupiona uwaga, z jaką słucha tego, co mam do powiedzenia Najwyższemu. Nie bardzo wiem, czy powinnam zwracać kapłanowi głowę tym, co się u nas dzieje. Na razie jeszcze mnie nie upomniał, więc rumieniąc się, mówię i o tych nieprzystojnych żartach, które opowiada mi mąż, i o znoszonych cierpliwie kuksańcach, i o nocach pełnych bólu, kiedy nie sposób spełniać obowiązków.

– Żona winna mężowi posłuszeństwo. Taki jest na świecie porządek, nie wolno go zmieniać. To dla twojego dobra, nawet jeśli teraz zdaje ci się inaczej – powiedział mi ksiądz Jerzy.

Mimo dezaprobaty ze strony Johany, trzymającej się z dala od Kościoła i jego kapłanów, czerpię z tych słów pociechę. Czuję, że mój spowiednik mnie rozumie, bo chociaż jest przedstawicielem stanu duchownego, odznacza się niezwykłą znajomością złych męskich nawyków.

Czasami miewam wrażenie, że ksiądz Jerzy się uśmiecha, a zza rzeźbionych krat dobywa się frywolne prychnięcie. Nie słyszę w tym drwiny, a raczej nerwowość, współodczuwanie mego napięcia. Na koniec zawsze udziela mi rozgrzeszenia, a pokutę wymierza niesro-

gą, zwykle różaniec lub modlitwę w intencji Jego Królewskiej Mości. W dodatku kapłan ten zna osobiście miłościwie nam panującego króla Zygmunta i cieszy się jego wielkim zaufaniem. Myśl ta wzbudza we mnie nieznane dotąd uczucia: dumy wstydlivie zmieszanej z pożądaniem, nie tyle cielesnym, ile duchowym. Przebywanie przez kilka minut z tym światowym człowiekiem daje nadzieję na to, że i mnie uda się kiedyś dotknąć spraw ważnych, zostawić ślad inny niż rzeźba w lukrowanych piernikach, które piekę w każdą zimową sobotę ku uciechu mych dzieci.

Ostatnio zwierzyłam się spowiednikowi z tych myśli.

– Chciałabym czytać różne księgi i poznawać świat, tak jak wy, księżę. Czyż nie tym wszystkim tajemnicom życia powinniśmy poświęcać nasz ziemski czas? Żeby je jakoś zrozumieć? A przez to zrozumieć siebie? – zapytałam, a policzki zapłonęły mi z podniecenia.

– Ziemski czas należy poświęcać Bogu, córko – odparł dobrotliwie kapłan, gasząc nieco mój zapal. – Czy ty w ogóle umiesz czytać?

– Tak! Czytam biegle po łacinie i w naszym języku. Umiem też pisać.

– Skąd u ciebie ta wiedza?

– Mój świętej pamięci ojciec o to zadbał.

– Czasami lepiej jest wiedzieć jak najmniej, córko, tak jak pacholęta. Jesteśmy wszyscy dziećmi Boga i taką to nam powinno dawać radość, byśmy niczego dalej nie szukali.

– Ale wy przecież szukacie. Jeździecie po krajach, piszecie wiersze. – Dodałam, nie mogąc się nadziwić, skąd wzięła się we mnie taka odwaga.

W konfesjonale zaległa cisza. Byłam pewna, że ksiądz Jerzy zgromi mnie za tę śmiałość. On jednak tylko westchnął i zaczął szeptać formułę rozgrzeszenia. Pokutą znów był różaniec, najlepsza modlitwa dla kobiet. Zajmuje bowiem nie tylko serce, ale i drżące ze strachu dłonie. Zapach sandałowego drewna krągłych paciorków działa kojąco, pozwala zapomnieć o schowanych pod gorsetem siniakach wielkości jabłek.